

Jakub **Lubelski**

BOJDUDA



FRONDA

BOIDUDA

Jakub **Lubelski**

BOJDUDA

FRONDA

Copyright © by Jakub Lubelski, 2012
Copyright © by Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2012

Projekt okładki
Miłosz A. Lodowski

Zdjęcie na czwartej stronie okładki
Paweł Suder

Redakcja
Barbara Górska

Korekta
Elżbieta Białoń

Skład i łamanie tekstu
Wojciech Ryll

ISBN 978-83-62268-38-2

Wydawca
Fronda PL Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
fax (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

Druk i oprawa
Elpil
ul. Artyleryjska 11
08-101 Siedlce

Najdroższej Żonie, która to wszystko znosi...

I

Bystro, babuszka!

Moja literatura jest radością
sprawianą moim przodkom
– niczym więcej.
*Jerzy Pilch*¹

Nazywam się Daniel, Jacek Daniel. Do życia rwałem się jak wariat. Zdecydowanie za wcześnie. Urodziłem się w czasie ponurym dla Polski. Ponura musiała być też porodówka przy ulicy Kopernika w Krakowie, mimo iż dowodził tam przystojny doktor Pomykałło. – Tu mamy Nowy Sącz, tu poronienie, a tu literaci – jakby błogosławiąc, wskazywał przy trzecim punkcie wyliczenia na moją mamę. W takim otoczeniu walczyła przez kilka miesięcy o życie swojego jedynaka.

W czwartym miesiącu ciąży pojawiły się niepokojące objawy. Zamiast na sylwestra, mama pojechała na klinikę. – Rodzisz, dziecko – usłyszała. Nie było mowy o jakichś spektakularnych skurczach Braxtona-Hicksa, ale fakt jest faktem, że poród zahamowano. – Pani zostaje u nas i będzie leżeć na wznak. Jeśli tylko spuści pani nogę w dół, możemy się z dzieckiem pożegnać – zapadł wyrok. Ani babcia, ani ciocia nie mogły wówczas przyjechać. Mamę zatrzymano na klinice, ale nie była

¹ Jerzy Pilch, *Marsz Polonia*, Warszawa 2008, s. 54.

pozostawiona sama sobie. Osób, które mogły jej towarzyszyć, zorganizować, co tylko było potrzebne, podtrzymać na duchu, znalazło się niespodziewanie wiele. Profesor Szturchacz (znawca pozytywizmu) regularnie wydzwaniał do profesora neonatologii, profesor Borówa był w pogotowiu. Doktor habilitowana Salaterska przychodziła codziennie z pokrojonymi jarzynkami. Między wykładem z teorii literatury a dyżurem dla studentów wpadała tylko, żeby zostawić słoik pełen treściwej zupki i sprawdzić czy wszystko w porządku. Całe to zgromadzenie w oczach przystojnego Pomykały, ale przede wszystkim w oczach mamy, przyjęło rolę odpowiedzialnych za przyszłe istnienie, zdecydowanie roztaczających opiekę, którą – co wiem od Laurence’a Sterne’a – zwykle spełnia Ojciec.

Od pierwszych dni pobytu mamy w szpitalu rozpocząłem kolejną, uciążliwą akcję rwania się na świat. Potem kolejną i jeszcze następną. Całe zastępy wspierających przyszłe macierzyństwo mamy, zjednoczone siły rodzicielskie Katedry Teorii Literatury, Katedry Teatru i Dramatu, Katedry Historii Literatury Staropolskiej, Katedry Historii Literatury Polskiej XX wieku, grupy zaprzyjaźnionych z Katedrą Historii Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski – jezuitów, neonatologów i farmaceutów, ruszyły z kontrofensywą – hamujemy! Hold on! Jeden wlew nie pomógł, interwencja Katedry Krytyki Współczesnej, dawali drugi. Hamowanie! Cała wstecz! Hold on! Mama musiała, niczym w jakiejś conradowskiej scenerii, przybrać rolę marynarza o silnych ramionach, który mimo sztormu i szaleńczego żywiołu wód utrzyma w swych dłoniach mocno napiętą linę.

Katedra Teorii Literatury słabła na końcu, Ci nie dawali za wygraną. Igły jednorazowego użytku – doniesione. Płyn infuzyjny – załatwiony. Hektolitry partusistanu. Wlew. Hamowanie. Nikt tu nie dawał szans siłom natury. Stano na baczność, ładowano kolejne porcje kroplówek. Monitoring. Wlew. Hamowa-

nie. W końcu założono zabezpieczający szew. Kilka ruchów ostrej, chłodnej stalówki pióra, następuje zawiązanie akcji. – Już witałem się z małym – opowiadał mamie chirurg. – Co Pan mówi, to będzie chłopiec? – Tak tylko żartuję, ale czarna główka taka. Na miesiąc mnie wyratowano. Mama przeleżała kolejny. Katedra Teorii Literatury wykończona, ale na straży. Klinika zapisała się na stałe w tej dość przygodnie rozpoczętej opowieści.

Im starszy byłem, tym łatwiej przełamywałem swoją nieśmiałość. Szybko porzuciłem krępującą z początku wdzięczność zjednoczonym siłom rodzicielskim. Zanim zapragnąłem zastąpić Michnika i kierować największym dziennikiem w kraju, wyobrażałem sobie czyny mniej ekspansywne, jak przejęcie majątku po dziadku. Widziałem oczyma wyobraźni, że stoję za ladą lub oprowadzam dobrze sytuowanych lwowian po zapleczu zakładu meblarskiego i oferuję im mahoniowe stoły, oryginalnie wykańczane barki, kredensy ze szklanymi drzwiczkami albo kanapy z aksamitnym obiciem. Wyobrażałem sobie, że stoję tak w eleganckim kaszkieciku, z lekko uwydatnionym brzuszkiem, na którym opinałby się flanelowy kraciasty fartuch. Fartuch w kratę, niby roboczy, ale też taki, w którym można się śmiało prezentować w wytwornym sklepie. I wyobrażałem sobie zapach tego sklepu. Zapach zapewne jeszcze po pradziadku, znawcy fornirowania, wyklejania, podmalowywania, podpiłowywania. Do tego, niczym śmietanka na torcie czekoladowym, unosiłyby się ku górze drobne kłębuszki dymu z mojej fajki, pracowicie nabijanej co rano. Kolekcja fajek stałaby oczywiście w gablotce, tak, by każdy wiedział, że z kolekcjonerem fajek i smakoszem dobrego tytoniu ma do czynienia. Tak, by każdy wiedział. Byłby to swego rodzaju snobizm, dobry snobizm – bo już odkrywałem, że i taki istnieje. Z tym snobizmem i modą na galicyjskość to bym nie przesadzał, ale trochę bym im podlegał.

Mój zakład byłby najbardziej elegancki i wytworny. Drogi i ekskluzywny, dostępny jedynie dla najbogatszych lwowskich mieszczan. Na ladzie leżałyby zawsze aktualizowane katalogi, z którymi nie rozstawałbym się ani na dzień. I wyobrażam sobie, jak klienci pieją z zachwytu, jak przyjmują każdą sugestię z wdzięcznością i lekkim dygotem podniecenia. Zupełnie nie to co dzisiaj, kiedy każdy sam sobie jest panem, każdy uważa, że o gustach się nie dyskutuje, i każdy myśli, że jak namiesza wszystkiego po trochu, to jest najpiękniej. Namiastką tego zakładu była stara weranda u babci. Weranda, na której dziadek pracował i wykańczał jakieś swoje projekty. Rosnąc w kulcie dziadka, który wszystko naprawi, dziadka, który wszystko skleci, zakradałem się nieraz – wbrew zakazom – na werandę i godzinami buszowałem, odnajdując coraz mniej dla mnie zrozumiałe skarby: śrubki, papiery ściernie, farby, smarowidła i szmatki. Rozmontowałem już niejedno autko i bezlitośnie pozbawiłem karoserii bądź kół. Przecież dziadek wszystko skleci. Ale dziadek już nie żył.

Mój zakład byłby oczywiście przy ulicy św. Marcina. Ach, całe dzieciństwo marzyłem, żeby przejść się po św. Marcina we Lwowie. Uśmiech babci mówiącej o tym, jak chodziła po tej ulicy, jak wychodziła z domu i potem wracała, jak szła do szkoły, jak ją odprowadzały koleżanki, jak patrzyli się na nią chłopcy w krótkich spodniach i wysoko naciągniętych podkolanówkach, wszystko to na długo osadziło się w mojej wyobraźni. Wyraz twarzy babci, wysoko uniesione oczy to były stany błogości, jednak z pełnym niepokojem napięciem, to były stany, które najlepiej mogłem rozumieć. Ja. Wnuk babci, mały brunet.

– Moje najukochańsze czarnulki, wnusie moje, moje – ścisnęła mnie babcia, odnosząc się także do starszego o kilkanaście lat kuzyna. Nie wiem, jak by to było z blondaskami, ale po cóż się miałem nad tym zastanawiać.

Zakład po dziadku był oczywiście całkiem realnym marzeniem, mimo że nie zachowały się po nim żadne dokumenty własności. Jedynie sposób myślenia o nim był kompletnie dziecięcy i na wskroś romantyczny.

* * *

– Powiedz, Ewa, powiedz mi, jak to będzie – pyta mama znajomej pani doktor od Przybyszewskiego i Brzozowskiego.

– Nie będę owijać w bawełnę, poród to piekło.

Mama się bała. Przedzieram się przez różowe upławy pamięci matki i zakłócając porządek natury, rekonstruuje delikatną strukturę naczyń krwionośnych. Całe to napięcie, ucisk, nerwowe oddechy, wydmuchy i parcie. Za drzwiami stał już profesor Bida (najwygodniejszy samochód polonistyki UJ).

– Tu ma być wszystko co najlepsze – ordynowali biegający po korytarzach, zaprzyjaźnieni z literaturoznawcami psychiatrzy, kontrolując w czasie mych narodzin cały oddział położniczy. Katedra Teorii Literatury na posterunku, ci najwierniejsi, zawsze pierwsi, wymiana szlafroka i pyszny domowy serek w słoiku. Zjednoczone siły rodzicielskie uzupełnione o Katedrę Teatru i Dramatu, Katedrę Historii Literatury Staropolskiej, Katedrę Historii Literatury Polskiej XX wieku oraz grupy – zaprzyjaźnionych z Katedrą Historii Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski – psychiatrów, neonatologów w gotowości! To już. Borówa w oczekiwaniu na telefon.

– Nie ma co hamować. Rodzimy!

Ze Śląska rajd z pieluchami rozpoczyna mój trzynastoletni kuzyn, któremu siostra mamy dokładnie opisała tetrowy cel misji. Całość koordynuje nieznosząca sprzeciwu, charyzmatyczna doktor habilitowana Salaterska. Wsparcia psychologicznego i duchowego udziela zaprzyjaźniony ojciec jezuita, Adam.

– Nigdy nie trać nadziei, jesteś pod Opieką!

Jedziemy! Podczas porodu, którym zarządzał przystojny Pomysłak, ustawiono czterech najzdolniejszych asystentów Collegium Medicum. Patologiczna ciąża u blisko czterdziestoletniej kobiety stanowiła niewątpliwie pouczający przypadek. W tym czasie doktor habilitowana Salaterska wydała już polecenia. Plan rozpisany był niezwykle precyzyjnie. Teoria Literatury niezbędna na miejscu. Pozytywiści czyszczą podłogę w naszym mieszkaniu. Historia XX wieku pierze bieliznę, Literatura Staropolska wyparza naczynia w kuchni. Teatrologia szoruje wannę i dezynfekuje toaletę. Wyprawka zakupiona na kartki (połowa lat osiemdziesiątych) jedzie z kuzynem ze Śląska, Salaterska zawiaduje przechwyceniem cennego materiału na krakowskim dworcu PKS-u vis-à-vis Baru Smok. Jednocześnie samochód profesora Bidy – na rozgrzanym silniku. Po trzech miesiącach akcji ratunkowej w klinice sam poród nie przeciągnął się i nie należał do najcięższych. Bonus w postaci znieczulenia przy zaszywaniu krocza na koniec wieńczył dzieło.

Nerwowy ruch ostrza stalówki pióra prowadzi nas dalej. Po kilku dniach już oboje z mamą znaleźliśmy się w – wypucowanym przez zjednoczone siły rodzicielskie wszystkich katedr Golebnika – domu. Zaczęło się. Piszmy dalej, piszmy.

* * *

Prawdopodobnie zaczęło się od opowiadań babci. Ha, pamiętasz jeszcze to wszystko? Pamiętasz Bytom? Nie twierdzę, że babcia była jakimś autorytetem, wytrawnym komentatorem politycznym czy znawcą historii, ale opowiadała. Poza tym była babcią. To wystarczający powód dla wnuka, aby wierzyć absolutnie w każde słówko, przyjmować wszystko jak dogmat. Tak więc słuchałem. Wierzyłem. Uczyłem się. A Ruskich Bab-

cia nie znosiła. Dzisiaj, po upływie lat, odnoszę się do tych wspomnień z dystansem, niemniej jednak wdzięczny jestem babci za takie doświadczenie. Trzeba z całą mocą podkreślić, że na babcinych kolanach wysłuchiwałem uświęconych fraz polskich: „Przyszły Ruskie, to zabrały”, „Te łotry, Moskaliska...”, „Pakujcie się i wynocha, tak było...”. Zapomniałem nadmienić, że babcia, zmuszona do opuszczenia Lwowa, osiadła na Śląsku. Byle nie na wschód, byle nie na wschód, byle nie „tam”. Babcia była z naszego, polskiego Lwowa, *ta joj*. Miejsce urodzenia, którego nie ma – Lwów, Polska. Nie bez powodu nigdy do nikogo nie powiedziałem „Ty bolszewiku”. W przedszkolu wielokrotnie, bawiąc się w wojnę, mówiliśmy „Ty Rusku”, wszystko, co było złe, kiepskie, niskie gatunkowo, musiało być „ruskie”. Ale „bolszewik” – nigdy. To funkcjonowało w mojej świadomości jako oszczerstwo wyjątkowego kalibru. Co więcej, jako wyrażenie podłe i wulgarne. Ktoś, kto zagarnia ulicę św. Marcina, i ktoś, kto zamienia zakład mojego dziadka w rudere, ktoś, kto wywozi babcię i wysadza ją na przypadkowej stacji, stawał się moim życiowym wrogiem. Wrogiem egzystencjalnym. To, co działo się w przedszkolu, było zaledwie preludium przyszłej wojny.

Codziennie rano, przed kromką z ohydną pastą jajeczną i po deserze, którym był chleb z masłem i cukrem, udawaliśmy się do toalety. Tam najczęściej odbywały się najważniejsze negocjacje. Każdego ranka bowiem w przedszkolu trzeba było być dyplomatą. Ranek był bowiem przygotowaniem do wielkiej bitwy na kręgle. Każdy musiał więc zaplanować, do której „bandy” będzie należał. Trzeba było uzgodnić, z kim się będzie. Do naszego przedszkola chodziły dzieci z domu dziecka. One prały najlepiej. Wystarczyło w zasadzie przyciągnąć dwóch takich do siebie, do swojej bandy i jakiegoś jednego wyrośniętego, choćby Ryśka Budka, i w zasadzie bitwa była rozstrzygnięta. Rysiek

był solidnie zbudowany i jak dostał kurwicy, to napięprzał ze złością tak, że kasował większość chłopaków. Uch, jak Budek naparzał. Jego słabością było natomiast, że łatwo doprowadzało się go do płaczu. A widok płaczącego Budka był tak destrukcyjny dla bandy, że niejednokrotnie przesądzał o klęsce. Widok zasmarkanego Ryśka był nawet jeszcze czymś więcej. Był prawdziwą klęską, klęską całej bandy, ale i klęską indywidualną, oznaczał płacz mężczyzny nie tylko nad samym sobą, nad przegraną, upokorzeniem, bezsilnością, ale i płacz mężczyzny wyjącego z bólu, którego nie da się już znieść, z bólu, którego sensu nie sposób rozumieć, był to płacz mężczyzny, który już niczego nie rozumie, który naprawdę nie widzi dalszego sensu. Nie mogłem znieść płaczu Ryśka Budka, nawet jeśli nawalał po przeciwnej stronie. Podczas tych codziennych rytualnych bitew na kręgle czułem, jak się wzmacniam, jak się uczę. Być może kiedyś przyjdzie mi stanąć przed prawdziwym bolszewikiem i odebrać mój zakład meblowy, być może stanę na św. Marcina i krzyknę: „Szybko, babuniu, wracamy! Mówi wnuczek, babuńku, wracamy!”.

Babcia była prawie niewidoma. To znaczy od osiemnastego roku życia cierpiała na stopniowy i systematyczny zanik siatkówki oka. Widziała więc cienie i reagowała na światło, jednak nie rozpoznawała wyraźnie kolorów ani nawet postaci. Było to zresztą przyczyną wielu nieporozumień. Często kłócono się w domu o to, co babcia widziała, a czego nie widziała. Sam pamiętam, jak ukradkiem sprawdzałem czy babcia widzi drobne grzeszki wnuka. Wtedy to mogłem weryfikować swoją uczciwość, czy kiedy jestem niewidoczny dla innych, to zachowuję się tak samo jak wtedy, kiedy mnie nikt nie widzi. Zastanawiałem się, skąd Bunia wie, że to wnuczek podkradał słodkie przed kolacją. Babcia jak wszyscy niewidomi miała niezwykle rozwinięty słuch i węch. Charakterystyczny dodatkowy zmysł niewi-

domego pozwalał jej na doskonałą orientację w bieżącej domowej sytuacji.

Włosy babcia miała siwe i kręcone. Swego rodzaju baranek, którego uwielbiałem gładzić, nie omieszkując powiedzieć babci, że jest ślicznym puszkciem-okrągłuszkiem. Babciaskiem-bulbaskiem. Babcia miała też nieco obwisły podbródek, który kojarzył się z charakterystycznym połączeniem głowy i tułowia misia Yogi z kreskówki, stąd babciny pseudonim, który otrzymała ode mnie. Konkurował on z nazwą z innej kreskówki – mianowicie z Bunią, bohaterką Gumisiów. Dlatego moja babcia to po prostu Bunia Yogi ze Lwowa. „Buniu, wracamy” – marzyłem. Było to kompletnie nierealne i nie likwidowało poczucia tymczasowości. Obecność na Śląsku była podszyta tymczasowością. Rzeczy miały ulec oczywistemu i sprawiedliwemu przywróceniu. Babciu, wracamy.

Do dziś pamiętam z rodzinnych opowieści, jak to kiedyś prababcia śmiertelnie obraziła się na mojego dziesięcioletniego kuzynka, wsławionego późniejszym pieluchowym rajdem ze Śląska. Powód był jasny. Prawnuczek nie tylko nękał swą prababcię okrzykami „Hände hoch” (to był cios, choć jeszcze znoszny), ale kiedyś z dumą małego poligloty wyszeptał zalotnie: „Paszoł won, babciu!”.

To już był cios poniżej pasa. Ale tak już chyba musi być z babciami. Jedne potrafią się wyrzec wnuków, kiedy ci nie biorą ślubu kościelnego, inne przy wigilijnym stole będą się sprzeczać, że Polacy nie mieli nic wspólnego z Jedwabnem i że to wstrętne oszczerstwa, że to „te Szwaby”. I przykro jest babciom, że ich córki tak mogą mówić o nas, o Polakach. Babcia nie pozwalała powiedzieć o Polakach złego słowa. Było to przyczyną rozlicznych napięć. Niezbyt rozumiałem, o co babcia tak się złości, ale w codziennych sporach stawałem najczęściej, jako wnuczek, po jej stronie. Sam rozumiałem, że o ile „Hände

hoch” uszło, choć było drastyczne, o tyle „paszoł won” było jak splunięcie na bruk św. Marcina, było jak dewastacja zakładu, krótko mówiąc – było wszystkim co najgorsze. Ale można to babciom wybaczyć. Ostatecznie babcie są od czego innego...

Babcia lepiała genialne pierożki, z którymi konkurowały – zawijane przez nią samą – pyszne gołąbki. Kiedy jechało się do babci, zawsze też można było liczyć na naleśniki z serem oprószone cukrem pudrem. Kuchnia babci stworzyła mitologię polskiego jadła. Kompocik z suszonych śliwek czy jabłek stwarzał mitologię polskiego napitku. U nas, panie dzieju, taki kompocik, u nas kiszona, schabowy i ruskie z cebulką. Tu jest Polska. Czy taki Francuz, zjadając babcine wyroby, zdawałby sobie sprawę z tego, co je i w czym uczestniczy? On nie ma szansy, aby to zrozumieć. Ale każdy Polak, każdy Polak, mimo iż nieznający babci, od razu, w lot zrozumie.

Babcia, siedząc na wielkim, czerwonym fotelu, brała mnie na kolana i śpiewała pieśni legionowe. Kiedy sobie odtworzyć taką piosenkę, trzeba powiedzieć, że nie jest to ten rodzaj sztuki, z którym by się chciało obcować. Fakt jednak, że się jest Polakiem i miało się polską babcie, zmienia wszystko. Co właściwie zmienia, gównie cię to obchodzi! – prowokuje wewnętrzny szyderca, który zwykł w ten sposób sprawdzać autentyczność rozmaitych deklaracji składanych choćby przed sobą samym. – Co ci to zmienia? – Wypierdalaj – wyjaśniam krótko.

„Przybyli ułani pod okienko, przybyli ułani pod okienko. Pukają, wołają: Puść panienko! Pukają, wołają: Puść panienko! O Jezu, a cóż to za wojacy? O Jezu, a cóż to za wojacy? Otwieraj! Nie pytaj, to czwartacy! Otwieraj! Nie pytaj, to czwartacy!” – śpiewała. Wsuwałem małe, ciepłutkie bułeczki drożdżowe z różą, które szykowała dla mnie babcia, wsuwałem i zapewne nie miałem pojęcia, co to są czwartacy... Ale w duszy chciałem, aby się im powiodło...

„Przyszliśmy napoić nasze konie, Przyszliśmy napoić nasze konie. Za nami piechoty pełne błonie. Za nami piechoty pełne błonie. O Jezu! A dokąd Bóg prowadzi? O Jezu! A dokąd Bóg prowadzi? Warszawę odwiedzić byśmy radzi. Warszawę odwiedzić byśmy radzi.” Słuchałem babci i beztrąsko dalej zapychałem się bułeczkami.

„Gdy zwiedzimy Warszawę, już nam pilno... Gdy zwiedzimy Warszawę, już nam pilno zobaczyć to nasze stare Wilno. Zobaczyć to nasze stare Wilno. A z Wilna już droga jest gotowa. A z Wilna już droga jest gotowa. Prowadzi prościutko aż do Lwowa.” Tu znów myślałem o tym, jakież to Lwów musi być piękny, ileż tam wyjątkowych musi być rzeczy...

„O Jezu, a cóż to za mizeria? Otwórz no, panienko! Kawaleria. O Jezu! A cóż to za hołota? Otwórz no, panienko! To piechota! Panienska otwierac podskoczyła. Żołnierzy do środka zaprosiła” – śpiewa pięknym mezzosopranem babcia i przestawia kolejne oczko w wełnianym szaliku robionym na drutach.

W tym momencie wkraczała mama i karciała babcię za jakieś niby dwuznaczne myśli i niestosowne śmiechy. Babcia figlowała, ja niczego nie rozumiałem. Uwielbiałem natomiast babcię naśladować – biegałem za nią i wołałem „tiku tiku tak”, naśladując dźwięk szczękających drutów.

– A powiedz mi, Jacusiu, znasz „Aniele Boży, stróżu mój”?

– Znam – odpowiadałem.

– To jesteś już dużym chłopczykiem; pora, żebyś się modlił „Ojcie nasz”. Babcia nauczy cię „Ojczenasz” i „Zdrowaśmario” – mówiła, zapewne odczuwając, że realizuje właśnie jedną ze swych najważniejszych babcinych misji. Tu następowały momenty, o których lepiej nie wspominać. Momenty ćwiczeń. Swoista religijna kuchnia.

Tajemnicą pierwszą jest, że te babcie kochały najbardziej swoje wnuki. Swoje wnuki kochały ponad prawdę, wbrew

wszystkiemu, zaprzędawszy swój rozum, serce i duszę. Nawet diabłu. Bo tajemnicą drugą jest, że – choć niezbyt to rozważne – diabeł dla nich nie istniał, gdyby przyszło podpisywać cyrografy w sprawach wnuków. Jeśli o wnuka chodziło, to i dwa plus dwa mogło wynosić z pół tuzina. Te perfekcyjnie zaprogramowane na miłość do wnuków istoty, którym do szczęścia tak niewiele było trzeba, odegrały wielką rolę w wychowaniu pierwszego wolnego pokolenia w pokomunistycznej Polsce.

Te kobiety, nie zważając, że mężowie zdradzają je na delegacjach w Iraku lub Korei – mowa o inżynierach budujących mosty i kolej na Wschodzie, lwowskich batiarach pijących i rwących z życia jak hulaszczy młodziankowie – pilnowały, żeby był polski kompot, żeby grało polskie radio i by polskie córki odrabiały zadania i rosły na przyszłe zdrowe polskie matki. Te kobiety sto lat wcześniej nosiły czarną biżuterię na żałobnych manifestacjach powstańczych, te kobiety zatrzaskiwały okiennice przed zaborcą i te kobiety wysyłały synów, mężów, wnuków, aby łotrów przegnać. Tak bym raczej powiedział. Same pewnie z gara czy z chochli przydzwoniły niejednemu.

Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy zacząłem sam zastanawiać się nad swoim stosunkiem do Rosji, nad stosunkiem do innych narodów. Kiedy powoli pozbywałem się – jak zostało mi to wytłumaczone – ksenofobicznych naleciałości po babcinych opowieściach? Bardzo prawdopodobne, że swoje późniejsze poglądy zawdzięczam mamie. W życiu wnuków przychodzi taki moment, że kiedyś stają się synami. Choć częstszym wariantem jest, że synowie przedziwnie przeistaczają się we wnuki i pozostają nimi do końca.

Mama charakteryzowała się głównie tym, że czytała polskie gazety. Od zawsze wstydziła się małomiasteczkowej atmosfery domu. Domu, w którym powszechnie wyznawano nienawiść do Niemców, szczególną nienawiść do Rosjan, a z jeszcze

szczególniejszą nienawiścią i zapałem wypierano się prawdopodobnych korzeni ukraińskich. Gdy dowiedziałem się, że w moich żyłach, być może, płynie ukraińska krew, mówiłem o tym z dumą. Nie wiem czemu. Być może widziałem w posiadaniu ukraińskiej krwi coś wyjątkowego, niespotykanego. Przecież głupio byłoby mówić jestem pół Polakiem i pół Amerykaninem. Ukraina, poza tym, że brzmi bardziej swojsko, to tak jakoś ciekawiej, jak coś bliskiego, choć dzikiego i nieznanego zarazem. O Kozakach nie wspomnę. Tyle ze strony mamy i o moich stosunkach ze Wschodem.

Ale istniało jeszcze rodzinne tabu. Co ze strony ojca? Pojawiał się mgławicowy domysł „tropu” żydowskiego. Tutaj już nie było babcinych opowieści. O tym, że możliwa jest w moim przypadku tradycja ukraińska, a także żydowska, dowiedziałem się od mamy. Nie wiem, czy specjalnie tak ujmowała sprawę, czy to ja już na początku szkoły podstawowej byłem tak „światły” i tak „tolerancyjny”, w każdym razie od początku byłem dumny. Nie wiem, skąd te zapędy. Chciałem być Żydem. Tak właśnie zostałem wychowany i nauczony przez mamę, która czytała gazety. Chciałem być Żydem.

Najprawdopodobniej mama uczyła mnie, że Żydom w Polsce trudno było, jest i będzie. Prawdopodobnie to było dla dziewczęciolatka najatrakcyjniejsze, chciałem być szykanowany, chciałem ponosić trudy pochodzenia, chciałem... Niestety. Byłem bardzo zawiedziony, kiedy dowiedziałem się, że wedle prawa żydowskiego i tak nie mam szans na bycie potomkiem Abrahama. Niestety. Tylko posiadanie matki Żydówki pozwala nosić miano Syna Izraela. Ale się zaparłem. Rysowałem sobie na rękach Gwiazdę Dawida, a wszelkim przejawom nietolerancji przeciwstawiłem teatralne kontrataki i z ogromną satysfakcją triumfalnie zamykałem buzie małym antysemitom, a jeszcze chętniej – antysemitkom. Prawdopodobnie w świadomości

dziewięciolatków broniłem dziwacznych idei, moje racje miały być z góry zanegowane, a jednak! Odnosiłem zwycięstwa. Prawdziwym hitem było, kiedy ze łzami krzychałem do takiego: „Zabij i mnie!”. To było tak wymowne, że prawdopodobnie zmieniało światopogląd moim rówieśnikom na zawsze. Nikt już nie wołał podczas bójki: „Giń, ty Żydzie”. Nikt. O Boże! Co by powiedziały ich babcie?

A co z Rosją? To dopiero zagadka. Nie byłem dobrym uczniem babci, już w przedszkolu starałem się równać Amerykanina z Rosjaninem, Człowieka z Człowiekiem. Choć nie potrafię wyprzeć się przed sobą, że prezydentem chciałem być amerykańskim. Ustępiliwy kolega zgodził się być wiceprezydentem. Dążyliśmy do celu konsekwentnie. Kiedyś, wychodząc z przedszkola, ściągnąłem z haczyka jego kurtkę, na co jego tata zawołał z końca korytarza – Ty, Michał, prezydent Ci kurtkę podaje.

W zerówce moja tolerancja polityczna dobrała sobie jeszcze jednego kolegę – strach. Bałem się Gorbaczowa, bałem się potężnego obszaru „Wschodniego Niedźwiedzia”, bałem się Jelcyna, w szkole średniej z niepokojem myślałem o Putinie. Wiedziałem, że nie możemy i nie powinniśmy robić wobec Rosji absolutnie żadnego gestu mogącego spotkać się z niezadowoleniem. Powinniśmy po prostu starać się, niezauważeni, jakoś przetrwać.

Po przeczytaniu największej powieści Michała Bułhakowa coś się zmieniło. Zachwyciłem się nie tylko literaturą rosyjską, przystąpiłem do nauki alfabetu rosyjskiego, ale również nabrałem olbrzymiej ochoty na pogłębianie wiedzy o kulturze i historii Rosji. I tak, entuzjasta Dostojewskiego, przyszły czytelnik *Historii Rosji* Bazylowa, człowiek myślący z niepokojem o Putinie, nieśmiało zacząłem tytułować się rusofilem. Z jakąś przedziwną przyjemnością, ze świadomym masochizmem powta-

BYSTRO, BABUSZKA!

rzałem wielokrotnie scenę z *Braci Karamazow*, w której dwóch „głupich” Polaków niechętnie pije toast za „Rosję w granicach z 1772 roku”. Obaj byli nie tylko głupcami, byli szulerami. Wstrętnie. Dostojewski z kolei, dowiedziawszy się o możliwości polskiego pochodzenia, powiedział – wiadomo! – że gdyby miał pewność istnienia choć kropli polskiej krwi w swoich żyłach, kazałby ją natychmiast upuścić.

Wiele czasu zajmowało mi uporanie się z tym problemem – jak można się zachwycać kimś, kto z taką nienawiścią myślał o naszych praprababcjach? Dla babci i dla mamy to było naturalne. Ta nienawiść była oczywistością. Mimo to na moim biurku stało zdjęcie rozczochranego Fiodora (z wczesnego okresu) oraz już nieco łysiejącego (z późnego okresu). Może tak rodzą się pomysły, że Rosją rządzą na zmianę politycy łysi i obdarzeni bujną czupryną. I że o wyborze wspianego ojca narodu decyduje ponoć odpowiednie nazwisko. Musi być krótkie, żeby dobrze brzmiało, kiedy tłum będzie je skandował na wiecach. Putin spełniał oba warunki. Ale dajmy spokój jemu i Dostojewskiemu.